

Andrzej Boruszewski

Łoś



Andrzej Boruszewski

ŁOŚ

© Copyright by Andrzej Boruszewski & e-bookowo 2012
Grafika na okładce: Justyna Stankowska
ISBN 978-83-63080-91-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

„Łoś” został nagrodzony w roku 2011 w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Augustyna Barana organizowanym przez Polskie Muzy.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Gałęzie drzew zatrzymywały na sobie dużą część padającego śniegu, ale i tak na leśnej drodze leżało go tyle, że dwóch mężczyzn nią idących swobodnie mogło ciągnąć za sobą duże sanki. Drogi nie oświetlał im księżyc, który tej nocy był w nowiu, ale nie musiał, gdyż znali ją doskonale. Nie przeklinali też wiatru tańczącego ze śniegiem, a nawet przeciwnie, cieszyli się z jego harców.

Wyszli z lasu kończąc pierwszy etap wyprawy, przeszli przez szosę i znowu weszli między drzewa, tutaj rosnące zaledwie kilkanaście metrów od brzegu jeziora. Szli teraz wąską ścieżką, która po jednej stronie miała przybrzeżne szuwary, a po drugiej siatkę ogrodzeniową, za którą były działki letniskowe. Po stu metrach zatrzymali się, łomem odsunęli bramkę od słupka, w który wchodził zamek i weszli na jedną z nich. Idąc wśród sosen dotarli wkrótce na miejsce. Stali przed murowanym domkiem z dużym drewnianym tarasem. Tu znowu poszedł w ruch łom i po chwili całe bogactwo, jakiego tu się spodziewali, mogło być ich.

Przeszukiwali metodycznie, pomieszczenie po pomieszczeniu. W pierwszym pokoju znaleźli telewizor – szybko wyładował na tarasie, gdzie mieli zamiar tymczasowo gromadzić fanty. Wprawdzie był stary i nie wiadomo, czy sprawny, ale uznali, że telewizor zawsze uda się sprzedać, jak nie w całości, to na części. Z drugiego pokoju wynieśli radio i dwa obrazy, a w kuchni znaleźli nienapoczętą butel-

kę koniaku. Już wcześniej trochę wypili, ale było im zimno, więc uśmiechali się do butelki luksusowego, jak sądzili, alkoholu, po którym spodziewali się przyjemnego gorąca rozchodzącego się od żołądka na całe ciało.

Starszy zrecenzował alkohol krótko: – Jak bimber, tylko gorsze. – I podał butelkę bratu. Ten pociągnął i przyznał mu rację: – Acha, jak bimber. Ale gorsze.

Nie przejmowali się, że ktoś ich zobaczy albo potem dojdzie do nich po śladach – śnieg wciąż padał gęsty i wciąż mocno wiało. Na wszelki wypadek nie zapalali jednak światła, a tylko przyświecali sobie dwiema latarkami, które komuś ukradli rok temu.

Ostatni pokój nie wyglądał na taki, w którym można by się było obłowić. Stała w nim jedna szafa i jedna wersalka z bardzo ładnym obiciem, a na ścianach wisiał jeden bohomaz. Szafa była przeznaczona na ubrania i teraz była pusta. Młodszy ze złości rozwalil kopniakiem jej drzwi.

– Idziem, nic tu nie ma – powiedział.

Gdy wyszedł, Starszy podążył w jego ślady, ale w drzwiach zmienił zdanie i się cofnął. Przypomniał sobie bowiem, jak dwa lata temu właśnie w takiej wersalce znalazł na podobnym włamaniu skrzynkę wódki i kryształowe kieliszki. Otworzył wersalkę, przyświecił latarką i się cofnął. Na dnie wersalki leżał nieruchomo człowiek.

– Młodszy, cho no tu szybko! – krzyknął.

Młodszy wbiegł do pokoju i spojrzał we wskazanym kierunku. – Chyba zamarzył na śmierć – powiedział.

– A po kiego by włożył do łóżka? Wyciągniem go stamtąd i obaczym, co z nim.

Młodszy pomógł bratu i po chwili leżał przed nimi chudy mężczyzna z zamarżniętym wyciekaniem z nosa i uszu.

– Trup!

Tym razem Starszy musiał przyznać rację Młodszemu: – No. Nieźle go ktoś zaprawił.

– Co robim?

– Najpierw wypijem po łyku.

Wypili i oświetlając zwłoki latarkami, oglądali je dokładniej. Po pięciu minutach wiedzieli, że mężczyzna zginął od uderzenia w głowę młotkiem, który miał w kieszeni fartucha.

– Wpierdolilim się brachu po same pachi – westchnął Starszy.

– Trza zabrać obrączkę i młotek i spierdalać – zaproponował Młodszy i schowawszy do wewnętrznej kieszeni kurtki młotek, wziął się za realizację części planu dotyczącej obrączki.

– Nie taka sprawa prosta – westchnął Starszy.

– Nu, nie chce zliźć.

– Nie o to chodzi, Młodszy.

– A o co?

– A o to, że jak go tutaj znajdu, a potem dojdę do nas, to powie-
dzu, że to my go utłuklim. Włamał się i żeby nas nie wydał, to go
utłuklim.

Młodszy nie od razu ogarnął myśl brata. Dopiero, gdy pociągnął z butelki, rozjaśniło mu się nieco w głowie. Z początku chciał Starszemu przyznać rację, ale potem przypomniał sobie, że to właśnie on zapewniał go, że śnieg zasypie wszystkie ślady i dlatego taka psia pogoda jest najlepsza na włam. Przypomniał mu to, a wtedy ten wyjaśnił: – Jakby chodziło tylko o włam, to nikt by się tym głowy nie zawracał. Ale trup, to trup. Zbioru odciski palców i w końcu nas znajdu. A wtedy po nas, nie wywinie się. Jak jest morderstwo, to jest porządne śledztwo, nie taka partanina, jak przy włamach. I największy śnieg nam nie pomoże, znajdu nas jak nic. Pełno tu naszych paluchów, nie wytrzesz wszystkiego po ćmaku. A pamiętaj, żeśma su notowane. Przyjadu mundrale z mniasta i wszystko wy-
niuchaju, nie to co miejskowe gliny.

– To co robimy?

Starszy zrobił efektowną pauzę, pociągnął z butelki i powiedział:
– Odstawiamy wszystko ma miejsce, trupa pakujemy na sanki i wy-
wozimy przez jezioro do lasu po drugi strunie.

– A jak nas kto zobaczy?

– W taku noc? W taku zawiruche? Ni ma prawa.

Piętnaście minut później sznurek, który miał przytrzymywać narkradzione dobro, powstrzymywał zwłoki przed spadnięciem z sanek. Bracia ciągnęli je przez zamrożone jezioro na drugą stronę, gdzie mieli zamiar udać się w głąb lasu i je tam porzucić. Trup był złośliwy i co jakiś czas zsuwał się im z sanek i trzeba go było pilnować. Nic dziwnego, że już po pierwszych stu metrach poczuli zmęczenie. Postanowili zatrzymać się i rozgrzać zawartością butelki, którą zabrali z pechowego domku. Wypili po łyku, chwilę postali i znowu ruszyli. Ale mniej więcej na środku jeziora Młodszy znowu poprosił: – Starszy, odsapniem.

Starszy nie tylko się zgodził, ale nawet zaproponował: – Zostawim tu tego truposza. Dali nie trzeba go targać. – Był nie mniej zmęczony od swojego młodszego brata. Ten bardzo się z tej decyzji ucieszył i odzyskawszy nagle siły, ochoczo zabrał się za odwiązywanie zwłok. Brat mu w tym pomagał, ale i tak szło im jak po grudzie, bo w rękawicach było pioruńsko niewygodnie, a bez nich dłonie strasznie marzły. W końcu się z tym uporali i ruszyli dalej. Bez trupa było im lżej, ale i tak bardzo ciężko. Szli pod wiatr, więc śnieg padał im prosto w twarz, do tego to cholerne wiatrzysko wciąż wiało i wiało, jakby miało wiać już do końca świata.

W pewnym momencie Młodszy zatrzymał się i powiedział:

– Patrz!

Starszy spojrział. Kilkanaście kroków od nich stał wielki łoś.

– Zły znak – zawyrokował Młodszy.

– Łoś, a nie znak – odparł Starszy, ale nie ruszał się z miejsca. Po chwili dodał: – Dobra. Znak nie znak, odpoczuć można.

Usiedli ciasno obok siebie na sankach i na zmianę popijając z butelki, zastanawiali się skąd na środku jeziora wziął się łoś.

– Jak myślisz Starszy, co to za łoś?

– Z lasu. A jaki ma być?

– A co on tu robi? Tysz na włamie był?

– Głupiś? Ty już Młodszy lepi nie pij.

– No właśnie. Na włamie nie był, to skund sie tu wziun?

– Normalnie, idzie se przez jezioro, na skróty. Może zabłądził...
Co to cię Młodszy obchodzi? Wstajem.

– Jeszcze minutke.

– No dobra. Daj łyka.

– A ten truposz, to co on za jeden?

– A skund ja mam wiedzieć? Pewnie właściciel chałupy, cośma się do niej włamali. Przyłapał złodzieja i go kropnął.

– Już prendzy złodziej właściciela. Złodziej by nie przyszedł w takim cienkim fartuchu.

– A właściciel w takie zimno by siedział tak na letko? Tysz ni.

Dalsze rozważania braci znowu dotyczyły łośia, który stał wciąż w tym samym miejscu, a potem zatoczyły koło i wróciły do trupa z wersalki. Pomimo usilnych starań nic mądrego nie mogli wymyślić, co jednak im nie przeszkadzało wcale, bo lepiej im się rozmyślało niż szło, więc wymarsz opóźniali o „jeszcze jedną minutkę”, „ostatnią minutkę”, „jeszcze tylko troszeczkę”...



Andrzej Boruszewski

Za młody by umrzeć, za stary na złudzenia – parafrazując tytuł jednej z piosenek Jethro Tull, tak bym siebie scharakteryzował. Nie mam złudzeń, że wyróżnię się ze mnie nowy Dostojewski, czy chociaż Chandler, ale nie zamierzam też z tego powodu tylko czytać, skoro lubię też pi-

sać i są chętni, by to czytać.

Na sumieniu mam chyba z kilkadziesiąt anonimowych opowiadań wydrukowanych w różnych kobiecych czasopismach, dwa opowiadania pod własnym nazwiskiem w niewychodzącym od dawna czasopiśmie humorystyczno-literackim Grizzli, a także główną nagrodę (wycieczka do Nowego Jorku) w konkursie MAXa w 1999 roku.

Skutecznie uprzykrzam życie jednej żonie, dwójce dzieci, dwom psom i jednemu kotu. Od wielu lat ten sam fioł – Frank Zappa. Ale lubię też czerwone wino i smażone mięso. Więcej na mojej stronie: www.andrzejboruszewski.pl